

JOANNA OLECH

TARGI LITERATURY DZIECIĘCEJ W BOLONII

Doroczne Targi Bolońskie są największą światową prezentacją książek dla dzieci oraz okołoksiążkowego biznesu. Wydawcy, pisarze, ilustratorzy, tłumacze, agenci literaccy, producenci filmowi zjeżdżają na cztery ostatnie dni marca do Bolonii, żeby śledzić trendy i dokonywać transakcji. Targi są ogromne – na powierzchni 2 hektarów, w siedmiu halach, wystawia się 1200 wydawców z 63 krajów. Wyjątkowo okazała ekspozycja przysługuje gościowi honorowemu; w tym roku byli nim Węgrzy (przed trzema laty – Polacy). Zobaczyć tu można wszystko – od plastikowych książeczek do kąpielii przez „globalne” bestsellery, książki edukacyjne i wyrafinowaną książkę artystyczną po komiksy i postdisnejowską komercję. Targom co roku towarzyszy duża światowa wystawa ilustracji w dwóch kategoriach: *fiction* i *non fiction*. Pierwsza obejmuje ilustracje do baśni i literatury pięknej, druga – ilustracje encyklopedyczne, poglądowe, infografikę... Na Targach ogłasza się też werdykty konkursowe i laureatów prestiżowych międzynarodowych nagród: Medalu im. Hansa Christiana Andersena (co dwa lata), ALMA – The Astrid Lindgren Memorial Award, ASAHI – nagrody za popularyzację czytelnictwa (w tym roku otrzymała ją polska Fundacja ABCXXI Ireny Kozmińskiej), Bologna Ragazzi Awards, „Białych Kruków” wybranych przez Jugendbibliothek w Monachium i innych. Warto również odwiedzić Bolonię dla seminariów, które trwają na Targach przez cztery dni, od rana do późnego popołudnia. Imprez adresowanych do tłumaczy było w tym roku dziewięć – to spotkania ze sławnymi tłumaczami, warsztaty, panele, dyskusje i prezentacje, które traktują o „trudnych przypadkach” translatorskich, dylematach związanych z przekładami z języków odmiennych kultur, różnicach pomiędzy tłumaczeniem a adaptacją itp.

Na Targach widać wyraźnie, że prawdziwe bestsellery żywią swoich autorów i wydawców przez więcej niż jedną generację – evergreeny

książkowe są przedmiotem handlu nierzadko przez kilkanaście i kilkadziesiąt lat. Dotyczy to zwłaszcza książek z **czytelnym, sympatycznym bohaterem**. I tak Elmer, Tintin, Mikołajek, zwierzątka Beatrix Potter, Żaba Maxa Velthuisa, Wilczuś Iana Whybrowa, Julek i Julka pojawiają się ciągle w klasycznych wydaniach i w dziesiątkach nowych wcieleni – wypromowany, rozpoznawalny bohater jest lokomotywą, która przysparza wydawcom zysków. Niekiedy jest to bohater wykreowany przez film lub telewizję: tegoroczną premierą była francuska książeczka dla najmłodszych z postacią Pana Hulot – filmowego bohatera Jacques'a Tati. Do grona znanych „twarzy” książkowego biznesu dla dzieci przybyła nowa gwiazda: Clarice Bean (właśnie spolszczona w oficynie Media Rodzina). Ta rezolutna, niepokorna i dowcipna dziewczynka z pewnością na wiele lat zagości w ofercie brytyjskiego wydawcy. W amerykańskich oficynach stało się standardem, że książkom dla młodszych dzieci towarzyszy przytulanka – na Targach prezentują się firmy azjatyckie, gotowe uszyć dowolną liczbę identycznych, małych zabawek według żadanego wzoru. Wprowadzenie nowego, lubianego bohatera do powszechnej świadomości dzieci z wielu kontynentów jest marzeniem wszystkich wydawców.

Prawo serii jest bardzo zauważalne i coraz powszechniejsze – jeżeli jakiś tytuł odniósł sukces, wydawca nie da odzipnąć autorowi i zmusi go do kontynuacji, kolejnych tomów, rozwinięcia fabuły w edytorski tasemiec, jako że dzieci lubią seriale i dochowują wierności swoim ulubieńcom. Gotowe są czekać nawet rok i dłużej na kolejny tom, jak to było w przypadku Harry'ego Pottera. Sprytni edytorzy wyciągnęli wnioski z tej lekcji, stąd choćby *Seria niefortunnych zdarzeń* – światowy przebój amerykański, pomyślany w założeniu jako 13-odcinkowy serial książkowy, na dodatek wystylizowany na produkt „Old England”.

To, co wyraźnie różni strategię wydawców zachodnich od naszych, rodzimych, to zupełnie **odmienne proporcje tekstu i obrazka**. Zachodnioeuropejskie książki dla dzieci młodszych są z reguły albumowe, w twardej oprawie, bardzo hojnie zilustrowane, z niewielką ilością tekstu. Liczy się raczej pomysł, **inteligentny koncept książki**, niż walory *stricte* literackie. Książka dla dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym jest czymś w rodzaju umysłowej łamigłówki, literackiego rebusu. Opracowanie graficzne ma znaczenie równoważne, jeśli nie wręcz dominujące, w stosunku do tekstu. Stąd zasada, która nakazuje wydawcy wymienić na okładce nazwiska autora tekstu i autora ilustracji obok siebie, tą samą wielkością czcionki. Bardzo często spotyka się książki autorskie, które

wyszły spod ręki piszącego ilustratora. Są to fabuły łatwe do streszczenia w kilku zdaniach, jako że ich istotą jest suspens, nieoczekiwana puenta lub zaskakujący koncept graficzny. I tak, na przykład, książka o przeciwieństwach (małe – duże, chude – grube, pełne – puste itp.) niemal bez słów, w której ilustracjami są fotograficzne martwe natury z wielką ilością szczegółów, ułożone z plastikowych, tandetnych zabawek w rodzaju tych, jakie znajdujemy w jajku-niespodziance. Zgrupowanie mnóstwa takich „odpadków” popkultury robi wrażenie i jest komiczne. Inna książka, oparta na aliteracji, to nauka abecadła przez układanie absurdalnych tekstów na jedną tylko literę (ze wspaniałymi ilustracjami Etienne’a Delleserta). Książka typu „znajdź 10 szczegółów”, tyle że „obrazkami” są reprodukcje najslawniejszych płócien światowego malarstwa. Inny przykład: wydane w amerykańskiej oficynie książki Czecha Petera Sissa, które są rodzajem pięknego, artystycznego komiksu o Darwinie i Galileuszu. Francuskie książki oparte na prostej zasadzie wyliczania – choćby tego, co jest obrzydliwe, niebezpieczne, głupie – ku nauce i przestrodze. Cała seria książek o lękach, wszelkich – choćby lęku przed odpływem wanny, przed zamknięciem w toalecie, przed basenem i zastrzykiem..., a nawet przed suwakiem w spodniach, który przycina siusiaka.

Widać wyraźnie, że punktem wyjścia do takich książek jest nie tyle pomysł fabularny, ile pewien **greps – tak literacki, jak i wizualny** – a cała reszta jest następstwem czytelnej wizji książki. Mam wrażenie, że tak wygląda przyszłość książki dla najmłodszych, a Polska wkrótce będzie ostatnim krajem, gdzie małemu dziecku czyta się długie, literackie opowieści. Tradycyjna fabuła, do jakiej przywykliśmy, wymaga dorosłego pośrednika, natomiast w zachodnioeuropejskiej praktyce „obrazkowej” małe dziecko może oswajać się z książką samodzielnie. Nasz *Pan Kuleczka* Wojciecha Widłaka czy *Przytulanki z Kotem Miśkiem* Anny Onichimowskiej, jakkolwiek mądre i pięknie wydane, budzą zdumienie zachodnich wydawców z racji dużej ilości tekstu. Pomiędzy cudzoziemską książką dla malucha i dziesięciolatka jest wyraźna, gatunkowa różnica – tak jakby wydawca bał się, że upychając do książki dla przedszkolaka zbyt wiele tekstu, wystraszy malucha i zniechęci go do czytania.

Trzeba zaznaczyć, że książki dla młodszych dzieci są wydawane na Zachodzie na tak wyśrubowanym poziomie artystycznym, że niewątpliwie spełniają rolę pierwszej edukacji estetycznej – wychowywania w szacunku dla sztuki, wprowadzania w świat artystycznych wtajemniczeń. Zwłaszcza książki francuskie, koreańskie, japońskie, niektóre oficyny włoskie, holenderskie i hiszpańskie to najwyższa półka edytorska.

Baśnie tradycyjne, jeśli pojawiają się na Targach, to z jakimś nowym kluczem – albo w monotematycznej antologii („Wielka ZWARIOWANA księga baśni o wilkach”, „Wielka ZWARIOWANA księga baśni o trolach”), albo w postaci postmodernistycznej przeróbki. Niekiedy bywają opatrzone oryginalną grafiką – na mnie szczególnie wrażenie zrobiła baśń Braci Grimm *Hansel und Gretchen* (Jaś i Małgosia) z ilustracjami, na których ubodzy rodzice Jasia i Małgosi wyglądają tak, jak w naszych czasach wyglądają biedacy: ojciec bezrobotny, matka z papierosem i zmierzwioną ondulacją, telewizor, nieład, flaszki, zaniedbanie...

To, co mnie ciągle zdumiewa i zachwyca w Bolonii, to odwaga wydawców, którzy żadnej sfery ludzkiego życia nie opatrują adnotacją „Nie dla dzieci!”. Na Targach można znaleźć książki **na absolutnie każdy temat**: książkę o starych ludziach (są samotni, cierpią, mówią sami do siebie, boją się, kochają swoje psy, zapominają, bywają bezradni...), o rasizmie, wojnach, śmierci, seksie, przemocy, zagładzie, ksenofobii, rozwodach, zazdrości... Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że to ponure, epatujące drastycznymi szczegółami historie – kunszt autorów polega na tym, że o rzeczach trudnych pisze się z talentem, budząc wrażliwość, ale nie naruszając poczucia bezpieczeństwa czytelników. Jest to kategoria książek u nas niemal nieznaną, jako że polscy wydawcy hołubią literaturę „cacaną” – słodką i bezproblemową (mówię o książkach dla dzieci młodszych, nie dla nastolatków). Wymienię tylko kilka interesujących przykładów z Bolonii: książka obrazkowa o Annie Frank; książeczka o prawach dzieci; fabularyzowane, bogato ilustrowane biografie dziecięce sławnych ludzi (Kaspara Hausera, Dalajlamy, Beatrix Potter); encyklopedia dla maluchów „dziecko” – o ciąży, porodzie, udziale ojca w wychowaniu, rodzeństwie; piękny alfabet arabski w postaci ideogramów, które ułatwiają zapamiętywanie; książka o dziadku i wnuku i o żalobie po stracie dziadka; książka o wyśmiewaniu niepełnosprawnych; książki inspirowane sztuką Chagalla, Leonarda da Vinci; fabularyzowane książki o ekologii, ochronie zagrożonych gatunków; o nocnych lękach; o losach dzieci podczas wojen światowych w trzech krajach walczących na frontach; o tym, że kiedy rodzice mówią o swoim dzieciństwie, nie zawsze trzymają się prawdy; o operze.

W Bolonii znajduje odzwierciedlenie znana zasada, że pisać dla dzieci należy tak samo jak dla dorosłych, tylko lepiej. My, Polacy, umiemy pisać książki dla dzieci, ale tkwi w nas wewnętrzny cenzor, który uparczywie dzieli świat na „dziecięcý” (w domyśle: bezproblemowy i wesoły) i „dorosły” – zbyt skomplikowany dla kilkulatka. Tymczasem dzieci

tak samo jak dorośli doświadczają obaw, cierpień i wątpliwości. Zadaniem literatury jest oswajać te lęki i wzmacniać poczucie mocy (do przyszłej konfrontacji ze światem dorosłych), a nie zmiatać problemy pod dywan. Toteż przyszłość polskiej książki dla dzieci widzę w „zgapianiu” od naszych zachodnich sąsiadów koncepcji odważnych, dalekich od kiczu i banału. Traktowanie dziecka **POWAŻNIE** jest ciągle jeszcze zaledwie postulatem w naszych obyczajach wydawniczych.

